

Mój, moja, moje...

Do napisania tego felietonu skłoniła mnie zbulwersowana znajoma, która opowiedziała swoje wrażenia ze spotkania rodziców i wychowawców likwidowanego przedszkola z władzami miasta. Poszła na nie nabuzowana (jak stwierdziła później – przez panią wychowawczynię i innych rodziców), ale jej święte oburzenie na złych rajców, którzy likwidują **jej** przedszkole, ostudziła wypowiedź jednego ze wzburzonych ojców. Tatuś ów wygłosił filipikę przeciw niemądrym (tu używam eufemizmu) urzędasom, zakończoną słowami:

- *A przecież to najlepsze przedszkole w mieście!*

- *Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?* – zapytał spokojnie przedstawiciel owych spostonowanych władz.

- *Jak to* – zareplikował wzburzony rodzic – ***mój syn tak mówi!***

Wtedy znajoma powzięła mocne postanowienie nieuczestniczenia w tej grotesce i znalezienia dla swojego dziecka jakiegoś innego przedszkola, które pewnie będzie równie dobre, a może nawet z jakiegoś punktu widzenia lepsze niż to likwidowane. I pewnie nie byłoby w tym wszystkim nic nadzwyczajnego i skłaniającego do chwytności za pióro, gdyby nie to, że pani owa przeczytała potem relację prasową z opisanego mi zebrania. Wtedy złapała się za głowę, bo nie rozpoznała w artykule niemal niczego, prócz miejsca, czasu i paru nazwisk, z sytuacji, której była świadkiem.

Ale czemu ja się irytuję? Wszak nie mam dzieci ani w wieku przedszkolnym, ani szkolnym, nie jestem ani dyrektorem przedszkola, ani tym bardziej bezdusznym urzędnikiem. Otóż - właśnie dlatego. Pomyślałam sobie, że **mój** interes, podobnie zresztą jak większości mieszkańców naszego miasta, reprezentują w tym wypadku najprawdopodobniej ci odsądzeni od czci i wiary urzędnicy. Nie zakładam bowiem, że to czy tamto przedszkole lub szkoła (utrzymywane z **moich** podatków lub za pieniądze zarobione przez **moje** miasto, które można by przeznaczyć na inne **wspólne** cele) są likwidowane bez przyczyny. A to dzieci coraz mniej, a to budynek okazał się cudzą własnością albo zwyczajnie się sypie... Że buntują się wychowawcy, dyrekcja, to zrozumiałe. Wszak zabiera się im miejsce pracy, o które coraz trudniej. Że buntują się rodzice dzieci? To też do obronienia. Wszak człowiek jest wygodny, a tu trzeba będzie włożyć nieco trudu w poszukanie innego miejsca dla dziecka, przekonanie tegoż dziecka do zmiany... Ale czemu dziennikarze niemal zawsze (a czytałam ostatnio kilka artykułów dotyczących owych bulwersujących likwidacji) stają po stronie interesu małej grupki mieszkańców miasta, a nie interesu większości? Że wypada być po stronie krzywdzonych? Dlaczego jednak nie upomną się o **moją** krzywdę, albo **Twoją** – Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku? Pewnie mają w tym jakiś **swój** interes...

Stefcia B.